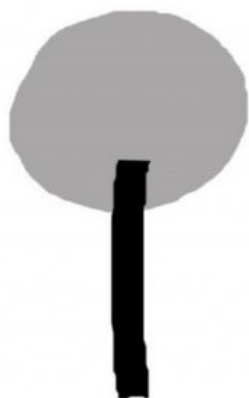


ZBIGNIEW DOMINO

AUTOR BESTSELLERA *SYBERIADA POLSKA*

CEDROWNE
ORZECHY



ZBIGNIEW DOMINO

AUTOR BESTSELLERA *SYBERIADA POLSKA*

CEDROWE
ORZECHY



WYDAWNICTWO
**Studio
Emka**

Spis treści

- [Dedykacja](#)
- [OD AUTORA](#)
- [DWUNASTY GARNUSZEK](#)
- [UCIECZKA](#)
- BUTELKA MLEKA
- KWIAT PAPROCI
- I ZNOWU ŚWIT
- ANIUTA – SIANOKOSY NA KOZACKIEJ POLANIE
- STIESZA
- CZARNY KAMIEŃ
- STARSZYNA GWARDII
- CEDROWE ORZECHY
- JULKA, ŻONA GICZOŁA
- ZŁOTE JABŁKO
- Przypisy

Wszystkie rozdziały dostępne w pełnej wersji książki.

Projekt okładki: Jacek Woźniak

Redakcja: Jolanta Karbowska

Redaktor techniczny: Paweł Żuk

Foto: Jerzy Paszkowski

Copyright © Zbigniew Domino

© Wydawnictwo Studio EMKA

Warszawa 2014

Wszelkie prawa, włącznie z prawem do reprodukcji tekstów
w całości lub w części, w jakiegokolwiek formie – zastrzeżone.

Informacji udziela:

Wydawnictwo Studio EMKA

ul. Królowej Aldony 6, 03-928 Warszawa

e-mail: wydawnictwo@studioemka.com.pl

www.studioemka.com.pl

ISBN 978-83-63773-65-6

Skład i łamanie: Anter Poligrafia (www.anter.waw.pl)

Skład wersji elektronicznej:

Virtualo Sp. z o.o.

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

*Pamięci zmarłej na Sybirze
mojej matki,
Antoniny Domino z Kaplitów
– tę książkę poświęcam.*

Autor

OD AUTORA

Nie kryję, że do opowiadań z tomu *Cedrowe orzechy* mam wyjątkowy sentyment. Może dlatego, że są to w większości opowiadania bardzo wczesne, niektóre wręcz debiutanckie, ale pewnie i dlatego, że są to opowiadania o jednorodnej zesłańczo-syberyjskiej tematyce.

Zaledwie dziesięcioletnim dzieckiem, wraz z całą rodziną, 10 lutego 1940 roku, zostałem wywieziony na Sybir. tam zmarła moja mama, a ojciec poszedł na front z kościuszkowską dywizją. Na długie zesłańcze lata w syberyjskiej tajdze, o chłódzie i głodzie, zostaliśmy sami z moim młodszym bratem Tadkiem. Ale jakoś przeżyliśmy i do wytęsknionej Polski wróciliśmy dopiero w lecie 1946 roku.

Nie dziwota więc, że kiedy po latach odważyłem się pisarsko zadebiutować, to zacząłem od... opowiadań syberyjskich. I w tych opowiadaniach wyrzucałem z siebie tkwiące we mnie głęboko, nurtujące mnie wręcz obsesyjnie, zesłańczo-syberyjskie przeżycia.

A już później proponowane obecnie opowiadania z tomu *Cedrowe orzechy* legły u podstaw całego cyklu powieści, z tą chyba najgłośniejszą, niedawno zekranizowaną *Syberiadą polską*.

I jeszcze taka ciekawostka z *Cedrowymi orzechami* związana. Opowiadania wydane w Warszawie na początku lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, oprócz recenzji krajowych zostały zauważone przez paryską „Kulturę”, co na owe czasy już samo w sobie było małą sensacją. A zrecenzowała je życzliwie dla autora, ze zrozumieniem czasów i okoliczności, w jakich *Cedrowe orzechy* w ogóle mogły się ukazać, pani Maria Danilewicz-Zielińska:

... „Cedrowe orzechy, krótkie opowiadania z wyraźnymi pointami, napisane gładko i interesująco, zasługują na uwagę ze względu na temat niechętnie poruszany w wydawnictwach krajowych. Mimo wyraźnie autobiograficznego charakteru opowiadań, brak informacji, jak i dlaczego rodzice autora «znaleźli się» daleko na zapleczu Związku Radzieckiego. Krajowy recenzent książki słusznie wydobyl analogię między opowiadaniem Dominy z tzw. radziecką szkołą zaplecza.

Absurd «znalezienia się» na Syberii rysuje się w tym ujęciu tylko pośrednio. Autor zdaje się sądzić, że własna jego tragedia ma tyle odpowiedników w innych rodzinach, nie tylko polskich, że traktować ją należy jako część *la condition humaine*. Cóż, w takiej i tylko takiej interpretacji mogły się ukazać wspomnienia z zesłania” („Kultura”, Paryż 1976, nr 7-8).

Rzeszów, 2013

DWUNASTY GARNUSZEK

Kalucze, nad rzeką Pojmą we wschodniosyberyjskiej tajdze, to nazwa jednego z podobozów osławionego gułagu, dokąd w lutym 1940 roku zesłano grupę Polaków wywiezionych z Podola. Kalucze to kilkanaście starych drewnianych baraków, zapluskwionych i zawszonych, z których, aby znaleźć miejsce dla Polaków, pośpiesznie ewakuowano i pogoniono etapem w głąb tajgi ich poprzednich przymusowych lokatorów, w większości sowieckich więźniów politycznych. O takich miejscach jak Kalucze zwykło się u nas mówić, że diabeł tam dobranoc powiedział; dookoła nieprzebyta tajga, zimą srogie mrozy i kopne śniegi, z wiosną zdradliwe topiele, a latem – chmary malarycznych komarów i kaśliwej, niewyobrażalnie natrętnej muszki. A do najbliższej wioski czy osady przedzierało się z Kaluczego ze dwa tygodnie.

Na wiosnę czterdziestego roku w Kaluczem wybuchła epidemia tyfusu. Nie mając należytej opieki lekarskiej i znikąd pomocy, zesłańcy chorowali prawie wszyscy i licznie umierali. Nie było dnia bez kilku pochówków nad brzegiem rzeki Pojmy. Nie było rodziny, w której by ktoś wtedy nie umarł. A bywało też, że wymierali wszyscy, jak to się zdarzyło w licznej, ośmioosobowej rodzinie Szajnow, spod zaleszczyckiej Jakubówki, z której nikt nie ocalał...

Być może z obawy przed nawrotem masowej epidemii, która zdziesiątkowała Polaków w Kaluczem, a może i z innych powodów, władze GUŁagu etapowały ludzi jeszcze dalej w głąb tajgi, do Kajenu nad rzeką Birusą. Tam, na nowym miejscu, Polacy, przymuszeni do wyrębu tajgi i spławu tratw Birusą, sami musieli przez to krótkie syberyjskie lato pobudować nowe baraki.

Tej drugiej zesłańczej wiosny, w 1941 roku, w Kajenie nad Birusą nasi ludzie też umierali, choć może nie tak masowo i często jak w Kaluczem. W Kajenie co prawda epidemia tyfusu się nie powtórzyła, ale i tu było na co umierać. Śmierć dopadała ludzi wyniszczonych niepospolitą przymusową pracą, lutymi mrozami, malarią i powszechnie panującym głodem. Przerzedzały się osierocone rodziny, a z niektórych, jak choćby z pięcioosobowej rodziny Mazurów, pozostała tylko jedna osoba.

A skoro już wspomnieliśmy rodzinę Mazurów, to od nich zacznijmy tę smutną, co prawda, ale od początku do końca prawdziwą opowieść.

Okolica jak na kolorowej, sielankowej widokówce. Wioska na skłonie głębokiego podolskiego jaru, skąd do brzegów meandrującego, zielonowodnego Dniestru kamieniem dorzucisz. Wiosną tumani zapachem bzu i jaśminu, oszłamia kwitnącymi sadami, latem otula się łąkami dorodnej pszenicy, wysokiej ponad głowy, złocistymi kaczanami kukurydzy, wabi i syci gronami słodkiej, tylko w tym zakątku kresowej Polski dojrzewającej winorośli, wielgachnymi jak koła od wozu dyniami, soczystymi melonami i arbuzami. Można też wyobrazić sobie tę podzaleszczycką wioskę w zimie, kiedy spracowana drzemie, zawiana po dachy obfitym w tych stronach, kopnym śniegiem, kiedy gałęzie przydomowych drzew uginają się i trzeszczą pod ciężarem strojącej ich srebrzystej, mroźnej szreni...

A w wiosce tej stoi niedawno pobudowany dom Mazurów. Zresztą całe obejście też nader przyzwoite. Pewnie, że mogłoby być jeszcze okazalsze, bogatsze. A może i będzie, bo Mazurowie małżonkowie młodzi, wciąż jeszcze na dorobku, a sił i dobrych chęci im nie brakuje. Nie brakuje tym bardziej, bo mają już dla kogo się starać, bo hasa im po domu trójka dorodnych basatyków: pierworodny czternastoletni Julek, jedenastoletnia Marysia no i najmłodszy, mamusin pieścioszek, pięcioletni Marcinek.

Tak to się rodzinie Mazurów żyło na kolonii Żurawka pod Zaleszczykami aż do wrześniowej wojny w 1939 roku. A potem to już tylko niepewność losu i wojenna trwoga. Tak nastał i ostatecznie zrujnował im życie pamiętny dzień 10 lutego 1940 roku. Nad ranem, pogrążonych w głębokim śnie zbudzili, wdarli się do ich domu zbrojni Sowieci i bez dania racji załadowali do bydłowych wagonów, wywieźli na Sybir. Tyle na razie o rodzinie Mazurów.

Teraz opowiemy o rodzinie Staniszków, bo los tak chciał, żeby obydwie familie miały ze sobą coś wspólnego.

Staniszowie z kolonii Poniatowa, też w zaleszczyckim powiecie, to naprawdę liczna rodzina, bo tuż przed wojną było ich razem piętnaścioro. Przypomnijmy ich wszystkich, bo dobrym ludziom dobra pamięć się należy.

Matka miała na imię Maria, ojciec – Stanisław Stanisz. Najstarszy syn Józef poszedł na wojnę we wrześniu 1939 roku i słuch po nim zaginął. Pamiętnego 10 lutego 1940 roku wywieziono na Sybir rodziców i ich dzieci: Julkę, lat siedemnaście, piętnastoletnich bliźniaków Wandę i Staszka, drugą parę bliźniaków, dwunastoletnich Władysławę i Władka, trzecią parę bliźniąt Adelę i Walerię, a że jak z tego widać bliźniąt Bozia pani Staniszkowej nie skąpiła, była jeszcze czwarta bliźniacza para, dziewięcioletni Czesiek i Marian. Do nich doliczmy jeszcze siedmioletniego Zbyszka, pięcioletnią Danusię i zaledwie dwuletnią Marysię.

Stanisze i Mazurowie nie byli spokrewnieni, z Polski się nie znali. Obydwie rodziny trafiły do Kaluczego, ale i tutaj rozsiadli w różnych barakach, w licznej zesłańczej gromadzie się nie poznali. Dopiero potem, w Kajenie.

Ale umieranie w obydwu rodzinach zaczęło się w Kaluczem, podczas epidemii tyfusu.

U Staniszków w połowie maja 1940 roku niemal razem, bo z dnia na dzień, zmarło troje: Wandzia i Marian z osobnych par bliźniaczych oraz matka rodu, Maria. Ojciec, Stanisław Staniszk, został z dziesiątką pozbawionych matki sierot, w tym z bezradnie najmłodszymi: pięcioletnią Danusią i ledwie od matczynej piersi odstawioną dwuletnią Marysią.

U Mazurów, w tymże Kaluczem i też na tyfus, zmarł ojciec rodu Jan Mazur. Schorowana, wyniszczona tyfusem wdowa pozostała sama z trójką małych dzieci.

Latem 1941 roku, obydwie rodziny, tak jak wielu innych Polaków z Kaluczego, wołą naczelników GUŁagu znaleźli się w Kajenie, nad pełnowodną i spławną rzeką Birusą.

Kajen od Kaluczego różnił się nie tylko wielką rzeką, ale i tym, że na jej drugim brzegu, z dawien dawna rozlokowało się parę niewielkich wiosek zamieszkałych przez rdzenną tutejszą ludność, przeważnie Rosjan, ale też przez Czuwaszy i Buriatów. Były to bardzo liche kołchozy, tym lichtsze, że trwająca wojna wymiotła z nich mężczyzn i ze wszystkim musiały sobie radzić kobiety, starcy i podrastające dzieci. Biednie, bo biednie, ale zawsze w takim kołchozie coś tam uprawiano, pasło się parę krów, kóz czy owieczek, a czasami nawet jakiś prosiaczek pokwikiwał. Więc jak się tylko dało Polakom, a zwłaszcza Polkom, przeprowić przez Birusę i dotrzeć do takiej osady, zaczynał się handel wymienny. Żeby zdobyć dla wiecznie głodnych dzieci dzbanek mleka, koszyk ziemniaków czy czegoś tam jeszcze, byle do zjedzenia, Polki wydobywały z tłumoczków, wręcz zdejmowały z siebie i wyzbywały się resztek przywiezionej z Polski odzieży... tyle tylko, że z każdym dniem tego „towaru” na wymianę Polki miały coraz mniej, a głód nie malał, tylko się wzmagał.

Tym bardziej że i robota w Kajenie niewiele różniła się od tej w Kaluczem. I tam, i tutaj, od świtu do nocy przymusowa dla wszystkich, w tym dla dzieci od czternastu lat, praca w tajdze. W zimie prowadzono wyręb masztowej sosny. Wiosną i latem, kiedy rzeka uwalniała się spod lodowatych okowów, wiązano z pozyskanego drzewa długie tratwy i spławiano je w miarę spokojnymi Birusą i Czuną, a potem burzliwą, pełną wirów i skalnych porohów Angarą, wreszcie potężnym Jenisejem, aż do przystani w Lesosybirsku. Od wiosny do jesieni część ludzi budowała nowe baraki, bo tych kilka dotychczasowych trzeszczało w szwach od niewyobrażalnej ciasnoty, tym bardziej, że Polaków wciąż z różnych okolicznych łagrów do Kajeny przybywało.

Dzień jak co dzień w Mazurowej rodzinie nie różnił się specjalnie od trybu życia innych. Tyle że samotnej, schorowanej wdowie, obarczonej trójką dzieciaków, było znacznie trudniej. Tak jak wszyscy, skoro świt, wychodziła z najstarszym Julkiem do roboty, by wieczorem, wyfasowawszy na kartkę należny im bochenek chleba, wrócić do swojego kąta w baraku. Wtedy dopiero miała czas dla dzieciaków, żeby spróbować, z czego się dało, choćby tylko z pokruszonego do wrzątku chleba, zwarzyć i pokarmić ich czymś ciepłym. A przez cały dzień, kiedy mama z Julkiem byli w pracy, młodsze dzieci, Marysia i Marcinek, musiały radzić sobie same. I radziły, jak potrafiły, włączając się między barakami i po ich najbliższej okolicy w gromadzie takich samych umorusanych oberwańców i głodomorów jak one. Najpewniej wtedy też dzieci Mazurowej poznały się z dziećmi Stanisza, choć obydwie rodziny mieszkały w różnych barakach.

A jak Stanisław ze swoim licznym osieroconym przychówkiem sobie radził? Nie licząc już prawie osiemnastoletniego Julka, no może jeszcze szesnastoletniego Staszka, którzy musieli wychodzić z ojcem do roboty, zostawało ich samopas w baraku ośmioro. I to wszystkie od mniejszego mniejsze, poczynając od bliźniaków, dwunastolatków Władzi z Władkiem, aż po najmłodszą, teraz już trzyletnią Marysię.

Trudno opisać to, czego w pełni opisać się nie da: bezmiaru opuszczenia, nędzy i nieustannego głodu tej pozostawionej samopas gromadki Stanisławowych sierot. I choć z podziwu godną troską, opiekuńczością, a jak trzeba to i drapieżną desperacją, gromadka małych Stanisławów zawsze trzymała się razem, walcząc codziennie o przeżycie, to wraz ze zbliżającym się wieczorem, jak te nienasycone pisklaki czekała na powrót do baraku ojca i starszych braci; jeść, jeść, jeść!

U Mazurowej nieszczęście. Jej najstarszy syn, zaledwie szesnastoletni Julek, z którego po śmierci ojca miała tyle pomocnej pociechy, przeziębził się przy wyrębie tajgi i zmarł na galopujące zapalenie płuc. A niektórzy twierdzili, że z głodu... Naczelnik Kajenu, Lebediew, wydzielił parę sosnowych desek na trumnę i polski zesłańczy cmentarzyk w Kajenie powiększył się o jeszcze jedną, oznaczoną brzoźowym krzyżem mogiłę.

Nieszczęścia wloką się za nieszczęściem... Parę miesięcy po Julku zmarła Mazurowej jedyna córka, zaledwie jedenastoletnia Marysia. Na co? A kto by tutaj w barakach, bez lekarza, felczera nawet, coś na ten temat wiedział. Umarła i już. A bo to ona jedna? W Kaluczem ludzie padali jak muchy, to i w Kajenie umierają. Mało ich już tu leży? Ot, choćby: Jan Byrski, Marysia Malinowska, Giemek Niski, Janka Głuszek, Zosia Manterys, Mela Zontek, Zelek, stary Grasela, babcia i dziadek Czulakowie.

Mazurowa tylko z Marcinkiem została. Nie dość, że tymi nieszczęściami na duszy obolała i z żalu półprzytomna, to ledwie nogami powłóczy. Po przebytych w Kaluczem tyfusie, malaria się do niej przyplątała. Choć, co prawda, nie tylko do niej, połową Kajenu malaria tłucze. Malaria to choroba zdradliwa, uparcie nawracająca, nękająca człowieka nagłymi atakami trudnej do zniesienia zimnicy na przemian z wysoką gorączką. Co rano schorowana Mazurowa zwleka się z pryczy, czym może przysposabia na cały dzień śpiącego jeszcze Marcinka i kreśląc nad nim znak krzyża, bo w istocie tylko opiece Anioła Stróża może go polecić, bijąc się z niewesołymi myślami, wychodzi.

Do całodziennej nieobecności mamy Marcinek zdążył się już przyzwyczaić. Wiedział, że przez ten czas musi sam sobie radzić. Nieodmiennie też, ledwie tylko otworzył i przetarł zaspane oczy, a zdarzało się, że udawał śpiącego, czekając na wyjście rodzicielki z baraku, zrywał się z pryczy, biegł do piecyka „burżujki”, bo tam w garnuszku mama zostawiała mu coś do zjedzenia: przeważnie jakąś cienką jałową zupinę, z czego tylko dało się ją ugotować, do tego jeszcze, jeśli miała, to kawałek chleba na stole. Pamiętał, jak co wieczór mama go napominała: – „Pamiętaj Marcinku, żeby wszystkiego naraz nie zjeść, bo to na cały dzień musi ci wystarczyć. – Dobrze, mamusiu” – grzecznie przytakiwał, by, ledwie doczekawszy ranka, łapczywie pochłonąć wszystko za jednym zamachem.

Dziecku się dziwić? Nie ma takiego, nawet wśród dorosłych, kogo by potęga wiecznego nienasyceńia, potęga dominującego głodu nie złaiała.

Wylizawszy garnek, przełknąwszy zebrane do najdrobniejszej okruszyny chleba, Marcinek „munduował” się w nieodmiennie te same, coraz bardziej obszarpane łachy, choć matczyśko ślęczało nad nimi wieczorami, prało i łatało, jak się dało, i wychodził przed barak. A tam dołączał do rówieśnej mu, też włóczącej się całymi dniami samopas gromady wiecznie głodnych barakowych obszarpańców.

Najgorzej było w zimie, kiedy syberyjski mróz i metrowe śniegi, nieodzianym naleźycie, nie pozwalały nosa z ciasnego, zatęchłego baraku wysunąć. Chyba że tuż za barak, za naglącą człowieka potrzebą. Nie dziwota, że dzieciaki wyglądały wiosny niby pisklaki gotowe z gniazda wyfrunąć.

W Kajenie pierwszym wiosennym zwiastunem było słońce, którego promienie zlizywały z szyb malutkich okien oszronione malunki i z topniejącego śniegu wieszały długie lodowe sopte na okapie barakowego dachu. A już naprawdę rychłe nadejście wiosny zwiastowała w Kajenie wielka rzeka Birusa. Nawet dzieciaki wiedziały, że kiedy znad Birusy donoszą się odgłosy podobne do burzliwych grzmotów, wybuchów bomb czy artyleryjskiej kanonady, to znak niechybny, że wielka rzeka z zimowego snu się budzi i spod lodu na wiosenny świat się wyrwa. Dnie stawały się dłuższe i coraz cieplejsze. Birusa wciąż walczyła ze zwałami lodu, rozpychała je na brzegi, omijała lodowe spiętrzenia i zatory, a kiedy lód próbował zatamować jej pełnowodny, potężny nurt, omijała go wściekle, rozlewając się szeroko poza swoje normalne letnie koryto.

Wiosna! Zniknęły śniegi, stopiły się, spłynęły lody, wielka rzeka wróciła do swojego łozyska. Ale wracając, nie wszystką rozlaną wodę zabrała z powrotem. Pozostawiła jej sporo w zagłębieniach pradoliny i na przybrzeźnych łęgach. Nawet nie wszystkie ryby zdążyły się zabrać z jej odpływem. A kiedy słońko jeszcze mocniej przygrzało, to na żyznym, naniesionym przez powódź namule, wcześniej niż gdzie indziej zaczęły kiełkować delikatne mleczce, jędrna lebioda i kwaskowaty szczaw.

Najważniejsze, że wszystko to razem, zdaniem barakowych ludzi, nie mówiąc już o dzieciakach, nadawało się do jedzenia; jak tam kto chce, gotowane czy od razu na surowo. Taplały się dzieciaki, a wśród nich Marcinek, po tych błotnistych, ledwie kiełkujących łąkach i opychały się młodą zieleniną do wzdęcia i biegunki. Co starsze zbierały jadalną zieleń i zanosiły do baraku. A ile było emocji i radości, nie mówiąc już o pożytku, kiedy takiemu małemu szczęściarzowi udawało się natrafić i wyłowić z wysychającego wodnego oczka ledwie żywą, zdychającą na powietrzu rybinę. Wczesna wiosna w tajdze, oprócz słonecznych, coraz dłuższych i cieplejszych dni, jeszcze jednym, nie tylko zresztą dzieciarnię, obdarowywała. Otóż, w Kajenie, niedaleko za barakami, na przedprożu mroczej ściany sosnowo-cedrowej, ciągnącej się nie wiedzieć dokąd tajgi, rosły sobie rozległym zagajnikiem wysokie, smukłe i zgrabne jedna w jedną, strojne w delikatną śnieżnobiałą korę – syberyjskie brzozy. To one właśnie, i tylko wczesną wiosną, nim zazieleniły się pierwszymi listkami, aż pęcniwały od nadmiaru krążącego w nich soku. I to jakiego soku! Nie dość, że dla człowieka pożywnego, ba! zdaniem wielu wręcz leczniczego, to do tego jeszcze na różne smaki słodkiego. Wystarczyło tylko

korę brzoźki głębiej zadrapać, nie mówiąc o sposobnym nacięciu, jak sok zaczynał kapać, spływać do podstawionego naczynia albo prosto do ust.

Lato i jesień w tajdze, choć po tutejszemu krótkie, też darów natury ludziom nie skąpią. Tyle że trzeba się na nich znać i potrafić, mieć warunki, żeby je spożytkować. Barakowi ludzie często nie mieli ani jednego, ani drugiego, a co dopiero małe dzieci. Nie brakowało w tajdze grzybów, jagód rozmaitych, nawet – nikomu w Polsce nieznanym – cedrowych orzechów. Kto potrafił i miał czym, mógł w Birusie łowić ryby. Marcinek był na to wszystko za mały. Grzyby na surowo jeść się nie dawały, czasami tylko starsi chłopcy rozpalali ognisko i piekli je na patykach. Co innego jagody, tymi Marcinek opychał się do przesyty. I zbierał do takiego „tujaska”, dzbanka zrobionego z brzoźowej kory, i przynosił mamie do baraku, która ostatnio słabowała coraz bardziej. Malaria ją tłukła, wracała coraz częściej i coraz mocniejszymi, długimi atakami. Bywało, że po takim ataku Mazurowa opuszczała pracę, bo z pryczy zwlec się nie mogła. Marcinek pomagał rodzicielce, jak potrafił, a kiedy przynosił jej nazbierane jagody, cieszył się, jadła je chętnie, do tego nachwalić się synka nie mogła.

– Tylko pamiętaj, Marcinku, bardzo cię proszę, nie chodź daleko do lasu, bo jeszcze nie daj Boże zabłądzisz mi kiedyś, a tajga to przecież.

– Nie bój się, mamusiu, nie zabłądzę! Zawsze z innymi chłopakami chodzę, a do tajgi, to tylko blisko baraków, na skraju.

– To dobrze, synku, dobrze, bo gdyby tak coś się stało...

Nie kończyła, odwracała głowę i końcem chustki wycierała oczy.

Mijało krótkie syberyjskie lato, żółknące liście brzoź zwiastowały jesień. Ze zdrowiem Mazurowej z każdym dniem było gorzej i gorzej. Kiedy kilka dni z rzędu nie miała sił pójść do pracy, w ich barakowej klitce zjawił się komendant Lebediew. Popatrzył, posłuchał usprawiedliwień Mazurowej i pokiwawszy głową niby ze zrozumieniem, w bezradnym geście rozłożył ręce.

– Rozumieć, to ja obywatelkę rozumiem, ale prawo jest prawem. A u nas „kto nie pracuje ten nie je”. Do tego jeszcze wojenne prawa obowiązują. Do „kałażki” was nie zamknę, pod sąd nie oddam, ale karteczki na chleb muszę wam zmniejszyć. Od dzisiaj, tak jak wszyscy niepracujący, będziecie otrzymywać po dwadzieścia deko na osobę. Chyba że wrócicie do roboty. No to poprawiajcie się, poprawiajcie – skrzytnął drzwiami i poszedł.

Mazurowa do pracy nie poszła. Po zmniejszeniu im racji chleba prawie przymierali głodem, nie mówiąc o tym, że i tych skąpych kąsków matka od ust sobie odejmowała, byle tylko Marcinka pokarmić. Sama przez Birusę do Czuwaszek przeprawić się nie miała siły, więc okazjnie przez usługne barakowe sąsiadki wymieniała na żywność, co tylko mogła. Aż wreszcie wymieniła ostatnią sukienkę, jaka jej z Polski została, za wiaderko ziemniaków i parę przygarści owsianej kaszy. I tym gospodarzyła, jak umiała najoszczędniej, żeby choć raz na tydzień Marcinek mógł przełknąć czegoś gorącego. Objawy długotrwałego głodu nie kazały na siebie czekać. Na poźółkłym, wyniszczonym

malarią ciele Mazurowej pojawiła się opuchlizna. Poczynając od nóg, które spuchły jak kłody, z każdym dniem pełzła wyżej i wyżej...

Marcinek się przebudził, ziewnął, przetarł oczy i już zsuwał nogi z pryczy, by swoim zwyczajem pobiec do piecyka i zjeść, co mu tam mama zostawiła. Powstrzymał się w ostatniej chwili, bo zerknął, że leżąca z nim na tej samej pryczy mama jeszcze śpi. I już całkiem przytomnie pomyślał, że już od dawna do jedzenia nic nie mają, oprócz tego kawałka chleba. Ale po ten dzisiejszy chleb mama pośle go dopiero po południu, bo wtedy w magazynku na kartki pieczywo wydają. „Dopiero po południu” – pomyślał, trudno. Ale na samą myśl już teraz się cieszył, jak do tego składu w te pędy pobiegnie, poda kartkę magazynierowi, a ten odważy mu kawałek chleba. Wybiegnie potem, zaraz odłamię sobie niedużo, ot taką odrobinę, skórki najlepiej, bo można ją przez całą drogę do baraku smakować i połknąć dopiero przed drzwiami, jak nic wrzaśnie:

– Mamusiu! Chleb przyniosłem!...

W okno zaglądał już biały dzień, a mama wciąż jeszcze spała. Dłużyło się Marcinkowi, wstał i cichutko żeby mamy nie zbudzić, zaczął rozpalać w piecyku... „Nim mamusia wstanie, herbaty jej ugotuję” – pomyślał. Ucieszony pomysłem, zaczerpnął z wiaderka garnuszek wody i postawił na rozżarzone żeliwne fajerki. Odczekał, kiedy woda zaczęła bulgotać i wrzucił do niej drobno pokruszonych malinowych łydyg. Widział, że mama tak robiła, a tak zaparzona „herbata”, choć niesłodka, bo cukru od dawna na oczy tu nie widzieli, miała łagodny smak, różowy kolor i pachniała świeżymi malinami.

A mama wciąż spała. Nie śmiał jej budzić. Na palcach podszedł do pryczy i wtedy dopiero zauważył, że przykrytej na głowę mamie, spod starego koca, wystają bose stopy. „Żeby jej zimno w nogi nie było”. Z tą myślą Marcinek zaczął delikatnie poprawiać i naciągać koc. Drgnął jednak z przestachu, że zbudzi śpiącą, bo niechcący ściągnął koc z matki twarzy. Ale zaraz całkiem skamieniał; rodzicielka nie spała, ona nie żyła! Leżała na wznak z szeroko otwartymi oczami, jakby nie wiedzieć czemu wpatrywała się w sufit.

I choć z widokiem śmierci Marcinek był oswojony, bo pamiętał śmierć ojca w Kaluczem, zgon brata Julka, a całkiem niedawno siostry Marysi, tu, na tej samej pryczy, gdzie teraz leży mama, z porażającego żalu i trwogi głos i łyzy mu odebrało. Stał chwilę obok pryczy, by zerwać się nagle i wybiec przed barak. Tam dopadł do pierwszej napotkanej kobiety, nie pamiętał nawet, do kogo, i kurczowo uczepiwszy się jej rękawa ciągnął do baraku:

– Mama... mama... mama...

Śmierć i matczyne pochówki Marcinek przeżył niby w półśnie jakimś i niewiele z tego wszystkiego pamiętał. Kobieta, którą przed barakiem zaczepił, powiadomiła kogo trzeba. Naczelnik Lebediew kazał stolarzom zrobić trumnę. Znaleźli się też dobrzy ludzie, którzy wykopali dół, trumnę na cmentarz zanieśli i do grobu wpuścili. Żałobników było niewielu, bo naczelnik Lebediew nikogo z roboty nie zwolnił, zaledwie kilka barakowych staruszek. Babiny przebierały różańce zgrabiałymi palcami, modliły się głośno i nabożnie żegnały. Marcinkowi nawet jedna z nich kazała

zdjąć czapkę, przeżegnać się i rzucić grudkę ziemi na mamina trumnę. Zrobił, co mu kazała, choć nie bardzo rozumiał po co ma mamusi trumnę grudami obrzucać. A potem słyszał jeszcze, jak rozchodzące się kobiety lamentowały, użalały się nad jego losem:

– Moja pani, ta przecież cała rodzina mu wymarła... Samiusieńki jak ten palec na tym świecie się ostał. No i co teraz z tą sierota będzie...

I na tym użalaniu zainteresowanie Marcinkiem się skończyło. Chłopiec do późnego wieczoru walał się bez celu po pobliskiej tajdze, wracał parę razy na cmentarz, obchodził mogiły mamy, Julka i Marysi, by wreszcie, splakany i przemarznięty do kości, wrócić do swojej barakowej klitki.

Od dnia pogrzebu nikt się w barakach losem Marcinka nie interesował, jak mu tam, co robi, czy ma co jeść i gdzie spać. Spać miał gdzie, bo jak dotąd nikt go z dotychczasowej barakowej klitki nie wyganiał. Może srogi naczelnik Lebediew też o nim zapomniał? Chociaż chyba nie, bo któryś ze starszych chłopaków Marcinka postraszył, że komendant Lebediew zbiera po barakach takie „bezprizornyje” sieroty jak on i ma je oddać do jakiegoś ruskiego „dieddomu”, czyli sierocińca. Odtąd Marcinek, włączając się po Kajenie, na widok Lebediewa brał nogi za pas i chował się przed nim, gdzie się dało. I z tego strachu przed sierocińcem chłopiec bał się nawet zgłosić po karteczkę na te dwadzieścia deka chleba. Co więc jadł, czym się żywił? A czym się dało, co mu jesienna tajga dała, głównie podmarzłe już grzyby, opadłe cedrowe orzechy, koralowe, sycące czerwone jagody brusznicy, wygrzebywane z ziemi oleiste korzenie „saranki”, kiście czarnego bzu i cierpkie jagody czeremchy. Czasami jakaś litościwa barakowa kobieta zaprosiła go na chochlę ciepłej zupy. Często wędrował też Marcinek daleko od baraków, aż na porębę, gdzie pomagał robotnikom ściągać obcinane gałęzie i spalać je na wielkim ognisku. Nigdy nikogo o jedzenie nie prosił, ale najczęściej, właśnie tam, na porębie, znajdowała się jakaś litościwa dusza, która odłamała dla niego kawałek chleba czy kubkiem gorącej herbaty poczęstowała.

Syberyjska zima zjawiła się nagle, od razu śnieżna i mroźna. A wraz z jej nadejściem zaczęła się dla Marcinka prawdziwa bieda. Nie miał się w co ubrać i czego wzuć na nogi. To, że wyglądał jak obszarpaniec, nikomu specjalnie nie przeszkadzało, bo wszyscy barakowi, w tym dorośli, wyglądali podobnie. Marcinek ze swojego polskiego ubranka wyrósł, znosił też wszystko po starszym bracie Julku. Jeśli się gdzieś wybierał, choćby po suche gałęzie do tajgi, czy znaleźć coś do jedzenia, owijał postrzępione trzewiki szmatami i mocował sznurkiem. A gdzie tu w zimie znaleźć coś do jedzenia, kiedy mróz i kopny śnieg po pachy? A żebrać i prosić Marcinek wciąż się nie nauczył, po prostu się wstydził. A jeść trzeba. I Marcinek, mimo pierwszego śniegu i zimy, wypatrzył coś do jedzenia. Na bagnach, tak zwanych „koczkach”, gdzie w lecie można było być wciągniętym w topiel bezdenną, rosła i owocowała „klukwa”, syberyjska krzewiasta borówka, o wielkich jak agrest, granatowych, o kwaśnym smaku jagodach. I „moroszkę” też tam można było spod śniegu wygrzebać. Też kwaśna do oskominy, krzewiąca się jak brusznica, kolorem do porzeczkii podobna. O te błotne jagody toczył Marcinek boje z równie głodnymi, zlatującymi się na „koczki” ptaszyskami. A wyprawiał się tam Marcinek niemal codziennie i one też stanowiły główne jego pożywienie. „A kiedy Birusę lód zetnie,

to może do Czuwaszek się wybiorę i najmę się tam do jakiejś babuszki do roboty; suszu jej do pieca z tajgi przywlokę, wody przyniosę, co mi każe, to będę robił. A tam to już na pewno komendant mnie nie znajdzie i do «dieddomu» nie odprawi”. Tak sobie czasami zziębnięty i wygłodniały Marcinek przemyślał. Aż tu kiedyś, podczas kolejnej wyprawy na „koczki”, zastał go wieczór, a do tego gęstym śniegiem poproszyło. Marcinek zebrał się do powrotu i... zabłądził! A nocny „błąd” nie tylko małe dziecko zwiedzie. Jak długo chłopiec błądził po tych „koczkach”, trudno powiedzieć. Ale miał szczęście, bo choć ledwie żywy, w mrocznej zawiei dostrzegł przed sobą zarys baraku. Popłakał się z radości, bo wiedział, że jest w Kajenie. Nie był to jednak jego barak. Marcinek był tak słaby, że dalej nie mógł zrobić kroku. Dowłókł się do oszronionych barakowych drzwi, drapał w nie jak psina i łomotał pięściami, bo już głosu nie mógł z siebie wydobyć. „Żeby nie spali, żeby mnie tylko ktoś usłyszał” – modlił się w myślach.

I usłyszał. Cała liczna rodzina Staniszów akurat siedziała przy stole i szykowała się do kolacji. Najmłodsze dzieciaki niecierpliwiły się najbardziej, bo dzisiaj, jak rzadko, kolacja zapowiadała się obfita i nareszcie sobie podjedzą. Obfita z tej okazji, bo najstarszy ze Staniszów, Julek, wrócił dopiero z dalekiego spławu, na który latem z tratwami wypłynął, i przydźwigał cały plecak żywności: chleb, konserwę „świnoj tuszonki”, kaszy jęczmiennej i nawet spory kawał cukru. Dziewczynki nagotowały kaszy z konserwą, porozlewały każdemu sprawiedliwie do aluminiowych miseczek, a komu miski nie starczyło, to do garnuszków. Maluchy niecierpliwiły się, przebierały łyżkami, byle tylko szybciej w tej gorącej zupie powiosłować. Ale wszyscy czekali, aż ojciec przeżegna się, oni za nim znak krzyża powtórzą i wtedy dopiero sobie pojedzą. Stary Stanisław już uniosł rękę do przeżegnania, gdy nagle siedzący najbliżej drzwi Staszek zaalarmował:

– Tato, chyba ktoś puka!

Wszyscy zamienili się w słuch. Usłyszeli pukanie.

– Puka – potwierdził Stanisław. – A kogo to akurat teraz czort niesie? Otwórz Stasiu, najbliżej siedzisz.

W oszronione drzwi, wraz z falą zimna, przewalił się przez próg mały, równie jak te drzwi oszroniony, utyłany w śniegu chłopczyzna. Staszek pomógł mu wstać, otrzepał go, zdjął mu czapkę.

– A kto to znowu taki? – dziwił się Stanisław.

Zbyszek i Czesiek odwrzasnęli ojcu w jeden głos:

– To jest Marcinek, tato, ten od Mazurów, co mu niedawno mama umarła.

Tymczasem Marcinek rozebrany, natarty do rumieńca po policzkach, wyraźnie dochodził do siebie. Stanisław zarządził:

– Ano, Zbyszek i Czesiek, rozsuńcie się trochę i weźcie chłopaka między siebie. A ty, Władziu, znajdź tam jeszcze jakiś garnuszek i nalej mu gorącej zupy, niech zje razem z nami.

Władzia, która dzisiaj za kucharkę robiła wyraźnie posmutniała.

– Ale, ja, tato... do ostatniej kropelki wszystką zupę porozlewałam, na wszystkich podzieliłam, nic ma już zupy, tato.

– Taka sprawa... Ale nie martw się, córca, zrobimy tak. Weź jego, jak mu tam?

– Marcinek, tato – odpowiedziała Władzia.

– Weź jego garnuszek i obejdz nas wszystkich po kolei, a każde z nas, nawet maluchy, ze swojej miski po dwie łyżki mu wydzieli. W taki sposób i Marcinek z nami powieczera, a my bez tych dwóch łyżek stawy mniej raczej też nie zgłodniejemy... No to, załatwione? Załatwione! Wszyscy na swoich miejscach? Raz, dwa, trzy... dwanaścioro jest nas razem za tym stołem, jak tych, nie przymierzając, dwunastu apostołów. No to, dzieciaki, „W imię Ojca i Syna...”

– Amen! – odkrzyknęli chórem.

Stanisz uśmiechnął się pod wąsem i pierwszy zanurzył łyżkę w zupie...

Postscriptum

Jak łatwo się domyślić, od tej chwili Marcinek Mazur pozostał przy rodzinie Staniszków na stałe. Tu dorastał, by w czerwcu 1946 roku razem z nimi powrócić z Sybiru do Polski. Dopiero na punkcie granicznym w Terespolu ich losy się rozeszły. A stało się tak, ponieważ ówczesny Urząd Repatriacyjny i Polski Czerwony Krzyż ewidencjonował i przejmował pod swoją opiekę sieroty takie jak Marcinek, których wśród powracających z Sybiru było sporo. Te instytucje, oprócz opieki nad sierotami, miały też poszukiwać w Polsce ich krewnych. Czy Marcinek, a dziś już po ponad pół wieku, pan Marcin Mazur, miał takie szczęście i w tym powojennym chaosie kogoś ze swoich krewnych odnalazł? Tego do dziś nie wiadomo. Wiadomo na pewno, że, niestety, Marcin Mazur ze Staniszkami też się już potem nie spotkał. Staniszkowie, których jeszcze sporo żyje i mieszka na Dolnym Śląsku, do dziś nie mają o nim żadnej wieści. Ale mimo upływu tylu, tylu lat wciąż nie tracą nadziei na spotkanie z Marcinkiem, bo takim go pamiętają i wspominają. Marcinie, gdziekolwiek teraz jesteś, odezwij się! Bo i autor, który tę historię najprawdziwszą z prawdziwych opisał, i podobnie jak ty był w Kajenie, też nie traci nadziei, że się odezwiesz. Na dowód czego nie kończy tej opowieści epilogiem, tylko niezwykłym postscriptum.

UCIECZKA

Przygnębiająca zesłańcza beznadzieja nawet najmocniejszych duchem mogła załamać. Najwięksi optymiści tracili widoki na jakąkolwiek zmianę. Polska stąd dalej niż daleko, bezradna krwawi pod wojennymi rozbiorami. A jeszcze dalszy i obcy Polsce dookolny świat dosyć ma swoich problemów, żeby sobie jakimiś tam polskimi zesłańcami, w syberyjskiej tajdze zagubionymi, głowę zawracać. Pozostawała im walka o przeżycie z dnia na dzień i rozrywająca serce tęsknota. Nie było wśród zesłańców takiego, który by nie tęsknił do Polski, do znajomej okolicy, do rodzinnego domu. Kto by wbrew wszelkim przeciwnościom losu nie śnił, nie marzył o powrocie. Tylko że różnie sobie ludzie ten powrót wyobrażali. „Wcześniej czy później Polska się o nas upomni! To nic, że teraz znów pod rozbiorami. Mało to w naszej historii było rozbiorów, wywózek? Ale zawsze, nawet po stu latach, niby z martwych powstawała Polska i swoje dzieci z całego świata do domu zwoływała. Da Bóg, my też wcześniej czy później szczęśliwego powrotu się doczekamy”. Ale nie wszystkim starczało cierpliwości czekać na przyszłą i niepewną sprawiedliwość losu. Zwłaszcza młodym.

Olek Zimorowicz, przezywany w Kaluczem „Tajojką”, pochodził ze Lwowa i był synem kolejarza z Lewandówki. Wkrótce po wkroczeniu Sowietów do Lwowa jego ojca zabrało NKWD i za polską konspirację wtrąciło do kryminału na Brygidkach. Od tamtego czasu słuch po nim zaginął. Olka z matką i młodszą siostrzyczką Reginą w lutym czterdziestego roku wywieziono na Sybir. Zeszłej wiosny matka z Reginą zmarły w Kaluczem na tyfus i Olek Zimorowicz został sam.

Józek Bar, rówieśnik Olka – obaj tej wiosny dopiero dwudziestki dobiegali – był chłopskim synem z podolskiego Czerwonego Jaru. Jemu też się z rodziną nie poszczęściło: matkę i ojca nad Pojimą pochował. Została mu w Kaluczem starsza siostra, Karolina, od dawna za Krupą zamężna i dzieciata.

Zimorowicz z Barem zaprzyjaźnili się, pracując w tej samej brygadzie, ciągnąc tę samą piłę na porębie. Dość mieli czasu i okazji poznać się bliżej, zaufać sobie na dobre i na złe. Nawet charaktery dopasować, bo różnili się prawie wszystkim. Olek – szczupły ruchliwy blondynek, raptus, ale i skory do żartów, typowy lwowski batiar. Józek – wiejski chłopak o cygańskiej urodzie, raczej powolny, wazący ruchy i słowa. Ale tęsknota do Polski pożerała ich jednakowo. Gadali chłopcy, dumali na wszelkie sposoby, aż pewnego razu zdecydowali: żeby nie wiedzieć co, z nastaniem wiosny uciekają

do Polski! Zwłaszcza że Józkowi Barowi z głowy nie wychodziła udana ucieczka jego kolegi z Czerwonego Jaru, Jaśka Kalinowskiego. Co prawda, Jasiek uciekł w drodze transportu na Sybir, ale uciekł! Gdyby tak teraz jemu, Józkowi, aż z Sybiru ucieczka się udała, to by dopiero w Czerwonym Jarze było o czym gadać. W tajemnicy zaczęli przygotowania do ucieczki. Wytoczyli ostre noże. Skradzione siekiery w tajdze ukryli. Z trudem, bo z trudem, ale nawet trochę sucharów nachomikowali. Do tego zapałki, garść soli i parę rubli w kieszeni. Niecierpliwie czekali, kiedy wreszcie wrócą do Pojmy rozlane szeroko wiosenne wody i okoliczne topiele podeschną. Kiedy uznali, że czas, w sobotnie popołudnie niepostrzeżenie odłączyli się od powracającej po pracy brygady. Z doświadczenia wiedzieli, że do poniedziałkowego ranka nikt z obozowej komendy nimi się nie zainteresuje. Jeszcze wtedy niedziele były wolne. Przeprawili się przez Pojmę i trzymając się jej prawego brzegu, ruszyli w górę rzeki. Wiedzieli, że Górna Pojma przecina tory transsyberyjskiej kolei gdzieś tam pomiędzy Tajszetem na wschodzie a Kańskiem na zachodzie.

– Klawo byłoby do kulei najprędzej si nam dokałapućkać! – Gorączkował się Olek. – Ta ty wisz, Józku, co to będzie za cymes? Na kulei to ja już gościu! To tak, jakby my z tobu już we Lwowie byli. A ze Lwowa do tej twojej tam dierewni to już całkiem ganc pomada.

– Dobra, dobra, nim o mojej dierewni, to ty lepiej pomyśl, czy my na pewno w dobrą stronę idziemy.

– Za kogo ty mnie uważasz? Ta ty, frair pompka, zapomniał już, co ja ci gadał? To ja si niby za durno dla czubaryków na tabak wykosztował i z tutejszymi jamszczykami bałak rozwodził? Ta ja nawet jeszcze wczoraj na mapę zdążył łypnąć.

– Na mapę. A skąd niby mapa?

– Pamiętasz, jak mnie brygadier z drogi zawrócił i po metrówkę posłał? A u nich tam w pomieszczeniu lespromchoza mapa wisi. To ja łyp na niu, i teraz wszystko wim! Trzymajmy się Pojmy, a ta nas, jak w pysk strzelił, do samej kulei doprowadzi. A na kulei to ja pan. I nie bój si nic. To jak si ta twoja podolska dierewnia nazywa, bo ja...

– A odczep się ty z tą „dierewnią”, po polsku zapomniałeś? Czerwony Jar moja wieś się nazywa, pod Zaleszczykami leży.

Ewentualnego pościgu spodziewali się dopiero za dwa-trzy dni, najpewniej we wtorek. Ten czas musieli wykorzystać, żeby możliwie najdalej odskoczyć od Kaluczego. Dzień był długi. Wytrwale przedzierali się przez tajgę, aż do późnego zmroku. Przez cały dzień lepił się do nich gęsty rój muszek, a pod wieczór komarów. Nie zdecydowali się rozpalić nocnego ogniska. Zgryźli po sucharze, wodą z Pojmy popili i zagrzebali się na noc w gęstym sosnowym młodniku. Pierwszy zmarznięty i zdrętwiały przebudził się Józek. Leżał na wznak, gapił się na korony wysokich sosen i myślał sobie, jak to dobrze być na wolności. Długo marzył o takiej właśnie chwili, kiedy się zacznie jego powrotna droga do Polski. Przysiadł, przetarł oczy i otrzepał się z sosnowych szpilek. Olek się obudził.

– A ty wiesz, Jóźku, ja si już na samo tylko pomysłeni cieszym, że my z tobu są na wolności! Ot, my z tobu teraz, choć jeszcze w tajdze, ale już jak ci ptaszkowi na wysokim niebi, dokąd sobi zechcem, tam i polecim.

– Dziwne, bo przed chwilą o tym samym myślałem. Ptaszki to sobie lecą, a my zbierajmy się w drogę, dopóki ta francowata muszka się nie obudziła.

Tajga wczesnym rankiem rosista, wschodzące słońce mruga przez osnutą wśród gałęzi pajęczynę, niepłochliwy dziki zwierz jeszcze na wypasie. Wśród wysokich sosen, po twardym poszyciu, idzie im się sporo. Ale w miarę jak słońeczko wznosiło się wyżej, wędrowało się coraz ciężej. I te nieprawdopodobne chmary zajadłych muszek. A oni bez siatek ochronnych i bez dziegiu nawet. Bojąc się zbłądzić, nakładali sporo drogi, klucząc z zakolami rzeki. Przedzierali się przez spróchniałe leśne zawały, przybrzeżne moczary, forsowali wpadające do Pojmy potoki. Słońce wskazywało południe, kiedy przysiedli odpocząć. Z wysokiego brzegu Pojmy, dokąd wzrok sięgnie, nic, tylko tajga bezbrzeżna. Na wzgórzu było sucho, ciepło i leniwie. Ostro pachniało żywicą i świeżo kiełkującą grzybnią. A do tego łagodny wietrzyk odganiał natrętną muszkę. Nic, tylko walnąć się i odespać zimną noc i zmęczenie. Z ociąganiem ruszyli dalej.

Nagle Józek wypatrył wśród starych sosen coś, co na pierwszy rzut oka przypominało spiczasty szałas. Ostrożnie podeszli bliżej. Na pagórkowatym szutrowym osypisku zobaczyli wkliniowaną między dwie stare brzozy ni to łódź-dłubankę, ni to skrzynię z nieheblowanych, poczerniałych dranic. Olek podskoczył, uczeplił się konara, żeby lepiej popatrzeć. Ale zaraz go puścił. W skrzyni był ludzki kościotrup. Leżał tu zapewne od dawna, bo muszka i mrówki do białości wyczyściły mu każdą kosteczkę. Czaszka straszyla pustymi oczodołami, żółte wielkie zęby mocna zaciśnięte. Obok kościotrupa leżała fajka z długim cybuchem, łuk, skrawki wyleniących skór i zardzewiały nóż.

– A to ci heca! Z truposza tylko gnaty zostali. Alim się spietrał... Ty wiesz, Jóźku, to te Buriaty podobno tak swoich chowają. Widać z drzewa do ichniego nieba im bliżej, nie to, kulego, co nam spod trawnika. Do tego na drogę różne rzeczy umrzykowi do trumny kładą. A może złoto nawet? Bo tu, braci...

Olek już chciał patykiem w trumnie pogrzebać, ale Józek złapał go za rękę.

– Zwariowałeś? Wiejmy lepiej stąd, bo jeszcze jakiejś biedy sobie napytamy.

Trapieni dziwnym niepokojem, jeszcze długo się oglądali.

– Trup trupem, gorzej byłoby z żywymi. Miał ty braci racje. Jakby taki Buriat uwidział, że ja ich umrzykowi w trumnie gmeram, to byś mnie potem do kupy nie pozbierał. Buriaty jak te duchy po tajdze łążą. Może i teraz nas widzą. Kitramy się, Jóźku, od tych umrzyków, byle dalej...

Miało się pod wieczór, kiedy usłyszeli dalekie poszczekiwanie psów. Omal nie wpadli w popłoch, bo pomyśleli o idącej ich śladem pogoni. Ale nie, to nie mogła być pogoń, bo psy z całą pewnością ujadały gdzieś tam przed nimi. Albo jacyś myśliwi po tajdze brodzą, albo jakaś osada w pobliżu. Szczekanie ucichło. Uszli jeszcze kawałek i wtedy na drugim brzegu Pojmy wypatryli wysoki

sztachetowy płot i znane im z Kaluczego strażnicze wieże. Wiedzieli, że mają przed oczami jeden z tajgowych łagrów – GUŁagu. Wczołgali się na pobliski wzgórek i obserwowali zza krzaków.

Chyba z dziesięć baraków. Za ogrodzeniem krzatali się więźniowie. Pokrzykiwania strażników.

– Wypisz wymaluj nasze Kalucze, tylko że tu same chłopy. Pewnie dopiero z roboty ich przygonili. Chyba do stołówki się tłoczą.

– Byle nas tylko jakaś sobaka nie wyniuchała. Klawo, że my tu na drugim brzegu. Hulamy stąd, Jóźku, byle dalej od licha!

Szli, dopóki nie ściemniało. Byle jak najdalej od napotkanego łagru. Tej nocy tym bardziej nie odważyli się rozpaścić ogniska. Noc ciemna jak sadza. Olka pogoniło za potrzebą. „A ja ci kręcę!”. Obudził Józka i pokazał mu na dalekim czarnym nieboskłonie płomiennorudą, pulsującą łunę pożaru. Tajga się pali! Ale nie bardzo tym się przejęli. Tajga płonęła gdzieś hen, hen daleko, po drugiej stronie Pojmy. Przedświt dopiero, no to jeszcze trochę pospali. Mieli szczęście do pogody, bo i ten ranek wstał słoneczny. Tam, gdzie w nocy dojrzeli gorejącą łunę, wisiała nad horyzontem chmura dymu. Stamtąd swądziło czadem. Ledwie widoczna zamglona słoneczna tarcza poczerwieniała, okolona tęczowymi obręczami. Nad ich głowami pojawiły się coraz liczniejsze przelatujące ptaki. Trochę się temu wszystkiemu dziwili, ale wytrwale wlekli się dalej. Gdzieś tak pod południe niespodzianie dotarli do jakiegoś leśnego chutoru. Niespodzianie, bo dym tak zgęstniał, żeomal natknęli się na płot z sosnowych żerdzi, dochodzący aż do samej rzeki. Takimi płotami odgradzają się od tajgi wszystkie syberyjskie osady. Drewniane grodzie nie pozwalają, żeby się było pogubiło i choć odrobinę chronią liche, wydarte tajdze uprawne zagony przed leśną zwierzyną. Chutor nie był duży, zaledwie kilka drewnianych chałup, z gospodarskimi przybudówkami. Każda chałupa dodatkowo ogrodzona palisadnym, wysokim płotem z desek. Wygłodniałych chłopaków aż kusilo, żeby wstąpić na chutor i coś do jedzenia zdobyć. Ale nie, lepiej nie ryzykować.

Skradali się wzdłuż ogrodzenia, byle chutor ominąć. Coraz niżej snują się nad tajgą gęstniejące chmury dymu i przelatuje coraz więcej gałgoczącego ptactwa. Dopiero jednak, kiedy z drugiego brzegu Pojmy ruszyła wprawdzie dzika zwierzyna i w pobliżu nich bez odrobiny strachu przetruchtało w głąb tajgi kilka lisów, wilków i łosi, zdali sobie sprawę, że pożar tajgi, w nocy tak odległy, jest tuż, tuż! W spokojnej i dotąd jakby bezludnej i sennej osadzie zaczął się ruch. Widzieli, jak mieszkańcy w pośpiechu krzątają się wokół domów. Wyganiali z zagród krowy, pętali postronkami kwiczące prosiaki, chwyтали gdakające kury. Wynosili, co się dało, z chałup. Spodziewali się nadchodzącego pożaru. Na drugim brzegu pożar głucho dudnił, słyhać było trzask ognia, widać płomienie buszujące w konarach sosen. Silny wiatr unosił wysoko, miotał na wioskę iskrzące głownie. Pożar forsował rzekę. Od tych płonących przerzutów zajmowała się sucha trawa, buchał ogniem sosnowy młodnik, pożar wślizgiwał się na chutor. Zapłonął gontowy dach chaty stojącej najbliżej rzeki.

Ryczało bydło, wyły psy, nawoływali się zaskoczeni żywiołem ludzie.

– O ja ci krence! Ale ten ogień hajcuj! Rzeką przeskoczył. Dymamy stąd, Jóźku, bo si tu i my na spalony naleśnik usmażymy.

– Wieś się pali, nie widzisz?

To mówiąc, Józek Bar susem przeskoczył ogrodzenie i pobiegł do pożaru. Olek szpetnie zaklął i pośpieszył za przyjacielem. Dobiegli do płonącej chaty i zabrali się do gaszenia. Szarpali palący się dach bosakami, wiaderka z wodą z rąk do rąk podawali. Kto wie, jak by z tym pożarem w leśnej osadzie się skończyło, gdyby nie Pojma, przez którą pożar tajgi całą ogniową lawą się nie przedarł i gdyby nie nagła, szkwalna ulewa. Ogień przygasł, wioska ocalała.

Pośród czarnego parującego pogorzelska sterczały zwęglone kikuty płotów, przybudówek, osmolone drzewa. Pożar strawił dwie chaty i sporo drobniejszej domowej żywności spiekł albo dymem wydusił. Na szczęście nikogo nie zabił, nie licząc paru poparzonych.

Olek z Józkiem ledwie zwlekli się nad rzekę, żeby jako tako doprowadzić się do porządku. Czarni jak kominiarze, oglądali swoje powypalane, poszarpane odzienie. Olkowi puchła boleśnie poparzona ręka.

Chutor nie był ludny. Przeważały kobiety i małe dzieci. Mężczyzn jak na lekarstwo. Pośród nich wyróżniał się starzec, brodaty i rudy jak marchewka. Widać było, że jest tu najważniejszy i słuchają go tu bez szemrania. Odnieśli wrażenie, że wszyscy na chutorze stanowią jakby jedną wielką rodzinę... upodobał ich nawet wygląd – prawie wszyscy mieli niebieskie oczy i lekko rudawy, słomiany kolor włosów.

W rzeczy samej owa zagubiona w tajdze osada nazywała się Spaskaja Zaimka i od dawnych jeszcze carskich czasów zamieszkiwały ją dwie wielopokoleniowe rodziny Pankratowych i Pietrowych. I wszyscy oni z dziada pradziada byli religijnymi staroobrzędowcami. Wiek temu uciekli z głębi Rosji, aż z rizańskiej guberni, na Sybir, przed prześladowającymi ich prawowiernymi popami i carem. A kiedy carów po bolszewickiej rewolucji nie stało, nadal taili swoją starą wiarę przed radziecką, tym razem bezbożną władzą. Tajga matuszka ich chroniła, karmiła i odziewała. Liche poletka uprawiali trójpolówką; polowali, łowili w Pojmie ryby i zajmowali się pszczelarstwem. Władzy słuchali, no bo jakże inaczej, przecież każda od Boga, ale, na ile się dało, pustelniczo unikali zewnętrznego świata i ludzi.

Rudobrody starzec nazywał się Pankratow. Pojawił się obok nich na brzegu i w milczeniu przyglądał się, jak Józek kawałkiem oberwanej koszuli bandażował Olkowi oparzoną rękę. Po chwili odszedł bez słowa. Olek syknął z bólu i dmuchnął na oparzenie.

– Szlag go, na cholery! A to rudy piernik, nawet dziękuj człowiekowi nie powi, nie zapyta, czy nam kiszki marsza nie graju! Ręka mnie boli, kałdun z głodu do żebrów przysycha. To ja, braci, w dupi mam taką zabawę. A wszystko przez ciebie. „Pożar, pożar!”. I leci gasić, jak ten wariatuońcio z Kulparkowa. Co ja, sikawkowy jaki czy co? Ta ty sobi wyobrażasz, ile my tu czasu za durno zmitrężyli? A taki stary wiewiórek nawet za to pocałuj mnie w dupe ci nie powi.

– Daj mu spokój. Miałbyś ty głowę do czego innego, jakby ci cały dobytek z dymem poszedł? Czekaj, nie szarp tak tą łapą, zawiążę ci i idziemy...

Nie zdążyli więcej ponarzekać, bo stary pojawił się znowu. Nie sam. Towarzyszyła mu młoda niewiasta, trzymała w ręku wiklinową kobiałkę.

– Pokaż rękę – skomenderował starzec. Obejrzał oparzenie, pomacał palcami opuchliznę. Młoda, rudawa blondynka z kobiałką mogła być jego córką albo synową. Stary wyjął z koszyka kurze jajo, białko z żółtkiem zmieszał na wielkiej jak łopata dłoni i wklepał to Olkowi w ramię. Pokroił w plastry tłuste, pożółkłe ze starości sadło i obłożył nim oparzelinę. – Niedźwiedzie sadło – wyjaśnił zdumionemu Olkowi. Skinął na młódkę. – Owiń, Anfisa.

Młoda, nie podnosząc wzroku na Olka, bandażowała mu rękę czystym lnianym ręcznikiem. Choć go to nie bolało, syknął specjalnie. Spłoszona, zerknęła mu w oczy i niemal jednocześnie spłonęła delikatnym rumieńcem.

– Bolno?

– Ta, co pani, niby motylek łaskocze – zaprzeczył galantnie, tyle że po polsku. Nie rozumiała, zdumiona. – Niczewo, charaszo, pani, charaszo... – poprawił po rosyjsku.

– Przepraszam, ja ostrożno... – I znowu niebieskie oczy w dół, ale rumieniec jeszcze wyraźniejszy. Skończyła i stanęła z boku.

Stary coś do niej mruknął. Skłoniła się nisko, postawiła kobiałkę i odeszła. Ale nim skryła się na ścieżce, dyskretnie na Olka się obejrzała.

Stary tymczasem przysiadł na pniu i zaczął wyjmować z kobiałki jedzenie.

– Pożywcie się, dobrzy ludzie, tym, co się w pośpiechu zebrać udało. Bóg wam zapłać za pomoc. Widać za nasze grzechy Bóg pokarał nas tym pożarem. A skoro jego wola była taka, pocierpimy. Poznają, że wy obydwaj nietutejsi, że nie z ruskiego jesteście plemienia. W tajdze nie ma zwyczaju nagabywać wędrowca, kim jest, skąd i dokąd zmierza. Więc i ja o nic nie będę was pytał. I wy nas też o nic nie pytajcie. Wy podążycie swoją drogą. My tutaj zostaniemy. Myśmy was nie widzieli. Wy zapomnijcie o nas. Częstujcie się, dobrzy ludzie, częstujcie. Przed dalszą wędrówką pomożemy wam, czym chata bogata. A jeśli wam nie bardzo się śpieszy, to i banię dla was rozpalimy, przenocujemy.

Aż korciło ich, żeby tu przenocować i chwilę odpocząć, ale zagrożeni pogonią przemogli się i nie ulegli pokusie. Odeszli. Kiedy na noc mościli się w gąszczu mokrego paprotnika, Olkowi ta młódka nie wychodziła z głowy.

– Ta ty wiesz, Jóźku, jakby my tam mogli dziś lulać? Pierzyna, dziewczyna... Ty widział, jak ta dziunia, no jak jej tam było, na mnie popatrywała?

– Anfisa chyba.

– Co to za imię dla dziewczyny, jakby ludzkiego kalendarza nie mieli.

– A może i nie mają. Żyją sobie po swojemu, i tyle.

– Nu i niech se żyju. Ale ty widział Jóźku, jak ta dziunia...

– Anfisa.

– Niech ci będzie Anfisa, jak ona mi się przypatrywała? Mówię ci, Jóźku, a na babach to ja si trochę znam, gdyby my tam na noc zostali, to ja by sobi z nią pogruchał, oj pogruchał!

– Albo by ci stary łeb siekierą za tę Anfisę rozwalił, albo komendant z Kaluczego by ciebie za gołą dupę spod pierzyny wywlókł.

– Gadaj sobi zdrów, co by było, to by było, ale szac kobitka z niej była i już. A ty człowieku leż tu teraz jak borsuk w mokrej trawie i nie dość, że ci się ślimak w uchi wślizga, to jeszcze zamiast babskiej pieśczoży jakies francowate mrówki cię w kroku poszczypują...

Jeszcze z tydzień Bar z Zimorowiczem przez tajgę wędrowali.

Natrętna muszka ich nie zamęczyła, bury Miszka ani zły warnak¹ im nie zagroził. Nie potopili się, forsując zdradliwe bagniska i rzeczne przeprawy. Nie dali się upolować łowcom katorżniczych głów. Nie dościgła ich pogoń z Kaluczego. Dzięki darom tajgi i dobrym ludziom ze Spaskiej Zaimki nie padli z głodu i wycieńczenia. Dopiero kiedy pewnego wieczoru usłyszeli niespodzianie, i to całkiem blisko, charakterystyczny ryk rosyjskiej lokomotywy, z wrażenia ugięły się pod nimi nogi, uszły z nich resztki sił i zamiast w te pędy pośpieszyć ku torom, padli jak podcięci biczem tam, gdzie stali. I w martwy sen zapadli. Dopiero następnego dnia o zmroku, wypatrzywszy uprzednio na kolejowym szlaku bezpieczne i dogodne miejsce, gdzie pociągi zwalniały bieg, włokąc się pod górę, wskoczyli na zderzaki i wdrapali się na platformę towarowego wagonu.

Platforma załadowana była ciężkimi skrzyniami z jakimś żelastwem i przykryta brezentową płachtą. Transport rzadko przystawał, nikt go nie kontrolował. Pociągi towarowe rządzą się swoimi prawami: to pędzą bez opamiętania i postoju, to znów całymi dniami stoją na byle stacyjce. Na postojach siedzieli pod brezentem jak mysz pod miotłą. Żywili się tym, co im jeszcze od starowierów z Zaimki zostało. Popijali deszczówką albo rosą, zbierającą się w nocy na brezencie. Tak dojechali do Kańska, gdzie transport stanął w nocy na towarowej bocznicy. Stał długo. Wiedzieli, gdzie są, tym bardziej nosa spod brezentu nie wysuwali. I nagle tam, w Kańsku, z ryczącego stacyjnego głośnika usłyszeli o wybuchu wojny. Wsłuchali się raz jeszcze i jeszcze: „Wierołomnoje napadnienie faszistkoj Giermanii na mirolubiwij Sowieckij Sojuz”. Niemożliwe! Nie umieli sobie tego wytłumaczyć, czyżby naprawdę Sowietci z Niemcami wojowali? Parowóz odłączony. Olek zaryzykował i żeby się czegoś konkretnego dowiedzieć, chyłkiem przemknął na osobowe perony. Nie tylko zdobył niezwykle wiadomości, ale kupił u handlarek parę podpłomyków i gotowanych jajek.

– A to ci, braci, heca! Na zicher Stalin z Hitlerem wojuji. A co dopiero taki oba cwaj kulegi byli, że hej. Moskali na wojnę idu, wódkę piju, śpiewaju, a ichnie baby płaczu. Znowu, braci, na tym świecie wszystko si pokićkało.

– No dobra, ale co my teraz zrobimy? Jak z Niemcami wojna, to tam, na zachodzie front. Jak się przez front do Polski przedostaniemy?

– A niby co mamy robić? Zaiwiamy dalej. Nie ma co durnego bałaku nad tu wojnu za bardzo rozwodzić. Co to my z tobu wojny nie widzieli? Dla nas wojna, nie wojna, to jedna ganc pomada.

Nie kitraj si, braci, zasuwamy, dopokąd si da, a tam si uwidzi. Przez front też si jakoś prześliźniemy. Gorzej niż w Kaluczem nigdzie nam nie będzie. A jak si do Lwowa dostaniemy, to tam ja już pan!

Nieszczęście wydarzyło się na zachód od Kańska, na stacji Soljanka. Było upalnie. Męczyło ich pragnienie. Olek porozglądał się, dookoła pusto, wodociągowy kran blisko. Zeskoczył z platformy do flaszki wody zaczerpnąć. Niespodzianie pociąg ruszył. Olek puścił się w pogoń, ale wagony już śmigały z coraz większą szybkością, Józek nie wiedział, jak mu pomóc. Przechylił się, wyciągnął ku niemu ręce. Olek skoczył! Celował na schodki hamulcowej przybudówki. Nie trafił... Zniknął pod wagonem, jednym, drugim, trzecim. Józek zeskoczył z platformy, na łeb na szyję sturlał się z wysokiego nasypu.

Pociąg oddalał się porykując, cichły charakterystyczne postukiwania kół po szynach. Kiedy wygramoliwszy się na tory Józek dobiegł do przyjaciela, ten, krwawo pogruchotany, dogorywał. Ale patrzył przytomnie. Coś chciał powiedzieć, z kącików ust ściekały stróżki krwi. Dławił się nimi. Józek przykląkł, ujął w dłonie jego głowę.

– Spokojnie, Oluś, spokojnie... – mówił, byle mówić, choć wściekły żal rozrywał mu serce. Dosłyszał jeszcze szept:

– Ni udało si nam, Jóźku, ni udało...

Zmasakrowane ciało Aleksandra Zimorowicza zabrała miejscowa milicja. Józefa Bara przekazano kańskiemu NKWD i osadzono go w więzieniu w Rieszotach. Tam, za ucieczkę z Łagpunktu Kaluczoje, Osoboje Sowieszczanije NKWD² skazało go na 10 lat ciężkich robót na Kołymie. Ale przed transportem na Kołymę jeszcze raz specjalnie odkonwojowano go do Kaluczego, żeby komendant Sawin mógł zbiega Polakom pokazać na dowód, że z Kaluczego uciec się nie da.